MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 4. WARSZAWA, 26 STYCZNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

ŻAŁOBA ANGLJI

SERCA Anglików złączyły się we wspólnej żałobie. Zmarł król Wielkiej Brytanji, Jerzy V. Panował lat przeszło dwadzieścia pięć i dożył siedemdziątki. Zdrowie miał od dłuższego czasu wątłe. Śmierć jego nie była dla nikogo niespodzianką. Czemuż poddani odczuli oczekiwaną żałobną wieść, jak cios okrutny?

Nawet telegramy PAT-a mówią coś o tem, jak prawdziwa i mocna jest wibracja uczuć, składających się na potężny akord żałoby narodowej. Czystość ich wywołuje rezonans współczucia nawet u narodów, którym najnowsza ich historja najbardziej utrudniła zrozumienie natury podobnych przeżyć zbiorowych.

Narodów takich nie brak w Europie powojennej. Wśród nich jednym z największych jesteśmy my, Polacy. Nam najtrudniej może byłoby zdobyć się na tego rodzaju żal, jakiemu daje dziś wyraz osierocona Anglja. Najmniej bowiem w duszy mamy tego, co w strukturze moralno-politycznej Anglika jest najsilniejsze: psychicznego zrostu z tradycyjnemi instytucjami, z urządzeniami politycznemi, trwale, oddawna i autentycznie regulującemi życie narodu.

Możnaby przeliczyć po kolei wszystkie najważniejsze części składowe naszego ustroju, żeby przekonać się, że Polak nowoczesny, choćby najgoręcej pragnący ucieleśnić w sobie ideał poprawności obywatelskiej, w głębi serca do żadnej z nich nie ma prawdziwego przywiązania. Stąd łatwo nam przychodzi opłakiwać ludzi, których uważamy za wielkich, z trudem natomiast możemy sobie wyobrazić ból, z jakim naród żegna odchodzącego, ukochanego monarchę.

Jerzy V nie był człowiekiem na miarę najwięszych historycznych postaci, przecież, wedle jednomyślnego zdania poddanych, dobrze zasłużył się ojczyźnie. Panowanie jego przypadło na okres w dziejach Anglji tak przełomowy i decydujący, że po analogję sięgnąć trzebaby chyba aż do czasów Henryka VIII.

Pierwsze trzy lata tego panowania były już finałem kończącego się długiego okresu dziejów. Przyszła następnie śmiertelna próba największej w dziejach świata wojny, próba, z której naród angielski wyszedł zwycięsko kosztem niebywałego wyczerpania nerwowego i moralnego, którego skutki miały się ujawniać następnie przez długie lata, najdobitniej zapewne w okresie od 1925 do 1931 r.

Traktat Wersalski, który zakończył wojnę, rozszerzył imperjum angielskie na obszar globu większy, niż kiedykolwiek przedtem w historji. Zarazem, od daty konferencji pokojowej, rozpoczyna się proces niezmiernie szybkiej emancypacji politycznej dominjów, zakończony w r. 1931 przekształceniem się dawnego, jeszcze przed czterdziestu laty rządzonego rozkazami z Londynu imperjum — na luźne zrzeszenie państw, związanych interesem, a także sentymentem, niewiele ściślej zespolonych, niż np. członkowie Małej Ententy, lecz zjednoczonych pod berłem wspólnego monarchy. Pierwszym królem tej nowej rzeczypospolitej narodów był Jerzy V. Odwieczny blask angielskiej korony osłonecznił się promieniami nowej symboliki, złotej i żywej dla wszystkich ludów mowy angielskiej w olbrzymiem imperjum. Zgon Jerzego V, równie szczerze jak Anglicy, opłakują

dziś angielskiego pochodzenia Kanadyjczycy, Australijczycy, mieszkańcy Nowej Zelandji i Afryki Południowej.

Sentyment republikański na obszarze imperjum znajduje silny, prawdopodobnie górujący wyraz jedynie w Irlandji. Jej wyzwolenie polityczne przypada również na okres panowania Jerzego V i stanowi jeden z uderzających przewrotów w dziejach nowej Europy.

Tempo wszystkich zmian, nawet w dziejach konserwatywnej Anglji zyskało niewidzianą nigdy przedtem szybkość. Wnet po triumfie wojennym okazało się, że Anglja, wyspa z czterdziestu przeszło miljonami ludności, weszła w najtrudniejszy gospodarczo okres swych dziejów. Jednocześnie mnożyły się objawy dokonywających się niezwykle szybko zmian w charakterze narodowym, które już w drugim dziesiątku lat panowania zgasłego monarchy doprowadziły do zatarcia tych znamiennych rysów, które na obliczu moralnem synów Albionu wyryła długa epoka wiktorjańska. Ewolucja ta najkompletniej dokonała się wewnątrz warstwy oświeconej, w jej pojęciach i obyczajach.

Zmiany te obejmują kompleks zagadnień tak szeroki, że sprawy religijne w kompleksie tym stanowią tylko jedną, nadzwyczaj ważną dziedzinę. Zmiany sięgnęły tak daleko, że nietylko, w życiu umysłowem inteligencji, tradycyjny protestantyzm stracił znaczenie, ale nawet produkty jego rozkładu prawie wszystkie ulotniły się już z atmosfery. Za panowania Jerzego V dzieło reformacji zostało w znacznej mierze odrobione, aczkolwiek tylko w niewielkiej części na korzyść katolicyzmu.

Wszystkie te, rewolucyjne nawet, zmiany w pojęciach nie nadwyrężyły tego, co w duszy angielskiej należy do dziedziny czystej tradycji. Trwanie instytucji monarchji przez dalsze dwadzieścia pięć lat; takt, patrjotyzm, rozsądek i wola króla sprawiły, że w dobie rozkładu tylu pojęć i urządzeń, historja przez te lata pracowała również twórczo, wbudowując coraz mocniej instytucję korony angielskiej w system tradycji politycznej i w strukturę psychiczną anglosaskich społeczeństw imperjum.

JAN RUDIS

O AUTORYTET NA WSI

PAN FRYCZ, którego czytam z dużą satysfakcją, zainicjował na łamach „Myśli Narodowej" dyskusję na temat: „Wiejskie problemy".

Jako społecznik, który przez 34 lata poram się nad wiejskimi problemami w myśl gorącej modlitwy Z. Krasińskiego: „Jeden tylko, jeden cud — z szlachtą, polską polski lud", chcę dorzucić ze swej strony swe trzy grosze przysłowiowe.

Może przydadzą się.

Mojem zdaniem, niepotrzebnie martwimy się tem, kto będzie, czy ma być, wodzem duchowym wsi: pan, ksiądz, czy nauczyciel... Ten będzie, kto na wodza się urodził, a charakterem i pracą zaufanie wśród chłopstwa zdobędzie. Wiadoma rzecz, człowiek rodzi się z predyspozycjami: jeden na generała, drugi na ciurę. Często los-figlarz zakpi i ciura zostaje generałem, lecz zawsze to będzie generał — ciura. Są i tacy.

Raz prowadzi wieś pan, gdzieindziej ksiądz i znów gdzieindziej nauczyciel.

Spiritus flat ubi vult.

Apel pana Świeżyńskiego, by wszyscy trzej stawali do wyścigu o władztwo dusz na wsi jest bodaj najpraktyczniejszym apelem w dotychczasowej dyskusji.

O chłopa bądźmy spokojni, nie zmarnuje się. Napewno nie zginie, jak dotychczas nie zginął, pomimo zakusów aż trzech zaborców i mimo wiekowego spychania go na najniższy szczebel życia społecznego. Chroni go: jego nieufność, konserwatyzm, zdrowy rozsądek, zdrowy instykt i „chłopski rozum".

Nie każda wieś ma dwór i pana, nie każda ma plebanję i księdza, a bodajże każda szkołę i nauczyciela. Tu jest nad czem pomyśleć.

Bodaj czy nie praszczur inicjatora tej dyskusji, Frycz-Modrzewski, pisząc o naprawie Rzeczypospolitej, kiedy myślał o nauczycielach, tak pisał: „wychowawcy, jeno z króle a biskupy porównani być mogą".

Oczywista, miał na myśli stosunki idealne. Dzisiaj troską patrjotów musi być zapewnienie wsi (i nietylko wsi) takich wychowawców, krórzyby się nie obawiali komparacji z „króle a biskupy".

Jak do tego dojść, jakie studja przepisać, jakie walory osobiste za warunek postawić kandydatom, jak ich uniezależnić, by nie byli jak dziś „*Mädchen für alles*" — oto wdzięczne pole do dyskusji. Bo plan trzeba mieć, jeżeli nie na dziś, to na jutro.

Dobry początek był zrobiony. Pierwszy Sejm, czasem wzgardliwie chłopskim nazywany, chociaż większość posłów nie była chłopami — instynktem czuł, że powszechna oświata, to potęga, więc wyszedł naprzeciw nauczyciela — podniósł nauczyciela szkoły powszechnej materjalnie i socjalnie. Następne Sejmy poszły po odmiennej drodze. Możemy i winić nauczyciela za to?

O jednem jeszcze pamiętać trzeba, gdy mowa o wsi i jej przewodnikach. Oto chłop lekceważy hołotę. Łapserdak, drapichrust w podartych butach i portkach może rzucać hasła demagogiczne i wywrotowe, lecz wodzem nie będzie. To darmo. O tyle łatwiejsza jest rola panów (ze dworu). Wystarczy, żeby przełamać nieufność chłopa, reszta pójdzie jak z płatka.

Chłop orjentuje się z łatwością w pracy z przekonania, z duszy, a z nakazu wyższego i w nagonce. Odpowiednio też darzy „pracowników". Rdzeń narodu — chłop jest zdrów i Polska z tego źródła czerpać może bez obawy i czerpać będzie pełnemi garściami. Główną zaś troską naszą powinien być materjalnie i duchowo niezależny nauczyciel — wychowawca.

M. M.

HABITUS NARODOWY

(Dokończenie)

II

NARÓD przez *habitus* narodowy tworzy człowieka, formuje jego typ psychiczny.

Nie jest to jednak wytwórczość seryjna, podobna do tej wytwórczości mechanicznej, która produkuje jeden i ten sam typ maszyny, identyczny w każdym egzemplarzu. Twórczość narodu daleka jest od tej monotonji, tworzy ona nieskończoną ilość niepowtarzalnych odmian. W odróżnieniu od produkcji mechanicznej możnaby tę twórczość narodu nazwać organiczną. Naród nie jest podobny — powiedzmy — do worka z nabojami jednego kalibru, ale raczej do dąbrowy, w której każde drzewo ma inaczej skręcone konary i korzenie, inaczej rozrośnięty pień, a przecież każde z nich jest tem samem — dębem.

To nieograniczone bogactwo odmian w twórczości narodu pochodzi stąd, że człowiek nie jest związany z narodem mocą jednego tylko węzła prostej przynależności.

Naród jest tworem organicznym o tkance zróżnicowanej jakościowo i funkcjonalnie, człowiek zaś wrośnięty jest w żywy organizm narodu, związany z nim całym kompleksem związków, układających się w pewną organiczną tkankę.

Można to wyrazić graficznie. Jeśli człowieka oznaczymy jako punkt, to dookoła tego punktu zatoczyć można szereg kręgów, symbolizujących węzły łączące jednostkę z narodem, nawarstwienia tkanki narodowej, w którą jednostka jest wrośnięta. Będzie to więc najpierw krąg rodzinny, wyrażający związek krwi i typ życia, krąg przyrody, wyrażający ten wycinek przyrody kraju, w którym człowiek ów się wychował, dalej krąg symbolizujący udział w twórczości cywilizacyjnej narodu i jego życiu politycznem i t. d. i t. d.

Wymienione wyżej kręgi możnaby pomnożyć. Tak n. p. do kręgu rodziny możnaby dodać krąg dzielnicy, krąg przyrody rozbić na krąg określonej wsi rodzinnej i dzielnicy rodzinnej. Postępując od kręgów ciaśniejszych ku rozleglejszym, z których każdy obejmuje kręgi w sobie zawarte i jest ich syntezą, dopiero na końcu doszlibyśmy do kręgu narodu, który jest syntezą wszystkich poprzednich. Otóż przynależność do narodu nie opiera się na samym tylko kręgu narodowym, ale na zespole wszystkich tych kręgów i poczyna się, jeśli tak można powiedzieć, od kręgów najbliższych, one to najszczelniej z narodem wiążą. W tym właśnie sensie rodzina jest komórką narodu.

Udział tych kręgów w formowaniu *habitus* narodowego jest jasny. Każdy z nich wyraża pewien zespół konkretów lub stosunków. Każdy z tych zespołów konkretów jest wycinkiem całego zespołu konkretów narodowych, każdy zespół stosunków jest poszczególnym wypadkiem ładu narodowego. *Habitus* narodowy zaś funduje się na konkretach i na narodowym ładzie. Nadaje on psychice konstrukcję, której członami są owe właśnie kręgi.

Każdy z kręgów symbolizuje zespół konkretów czy stosunków, ograniczających w pewien sposób wolność duchową człowieka. Narzucają one pewne zasoby wrażeń, pewną postawę wobec świata. Dążąc do wolności duchowej człowiek dokonać musi pracy wewnętrznej, zmierzającej ku owładnięciu tych warunków zewnętrznych, ku przetworzeniu ich na swój dorobek duchowy. Uciskającą obręcz świata zewnętrznego zamienić tu trzeba na wartości wewnętrzne, nadające zwartość organizacji psychicznej, krępujący ład zewnętrzny na wyzwalający ład wewnętrzny. Jest to ta droga, po której kroczy artysta, usiłujący uwolnić się z więzów stylu szkoły, środowiska, epoki wreszcie, krępujących jego wolność wyrazu. I tak jak artysta postępuje tutaj stopniowo, pokonywając najpierw kręgi ciaśniejsze, potem coraz rozleglejsze, tak i w pokonywaniu kręgów narodowych przebijać się trzeba przez najciaśniejsze ku najrozleglejszym, przetwarzając je na dorobek organizacji wewnętrznej. Kto zdoła przebić się przez krąg ostatni, narodowy, kto zdoła krąg ten zamienić na swój dorobek psychiczny, ten osiąga najszerszy *habitus* narodowy, taki, który artystę wyposaża w moc tworzenia wielkiej sztuki, sztuki narodowej, a zatem mającej wartości ogólnoludzkie.

Poza tym kręgiem bowiem jest już tylko człowiek. Dokonywa się tu paradoks. Po przebiciu wszystkich kręgów wraca się do punktu wyjścia — do człowieka. Ale jest to już człowiek pełny, o psychice rozszerzonej na miljony, człowiek, który to rozwiązanie metafizycznego zagadnienia życia, jakiem jest ład narodowy, zamienił na swój dorobek wewnętrzny, któremu tłocząca rzeczywistość konkretna nie zasłania perspektyw na metafizyczne zagadnienia bytu. Jeśli naród jako twór ponad-jednostkowy jest najwyższą istotą psychiczną, najwyższym szczeblem w porządku przyrodzonym, to z tego szczytu można ogarnąć wzrokiem największe świata koło.

Tutaj też okazuje się prawdą, że naród pomnaża krótkotrwałość doczesnego bytowania o całe wieki przeszłej i przyszłej historji. Wśród tych bowiem kręgów, które składają się na *habitus* narodowy, zawiera się gdzieś i taki, który wyraża dzieje narodu i pierwiastki twórcze jego przyszłości.

*

To są jednak już szczyty i nie chcę przez to powiedzieć, że ten tylko posiada *habitus* narodowy, kto zdołał przebić się przez krąg ostatni.

Kręgi niższe zawierają w sobie zapowiedź wyższych tak, że nietylko przebiwszy się poza całą tkankę narodową, ale także i tkwiąc w niej

można mieć *habitus* narodowy. Tak jak pewien określony wycinek przyrody jest szczególnym wypadkiem większej całości, jak djalekt dzielnicy jest szczególnym wypadkiem języka narodowego, jak dzieje tej dzielnicy są częścią dziejów narodu, tak też i każdy poszczególny krąg jest częścią całego koła narodowego. Nietylko okrąg tego koła jest np. polski, ale i każde jego przecięcie, każdy punkt jego powierzchni. Nie dochodząc więc do samego okręgu, można osiągnąć *habitus* narodowy o zasięgu zależnym od tego, w którem miejscu, w jakiej odległości od okręgu, utknął wysiłek przetwarzania ładu zewnętrznego na ład wewnętrzny. Co więcej kręgi węższe nie są kręgami autonomicznemi — istnieją przez naród i tylko w narodzie. Odpowiadający im *habitus* jest więc w sposób konieczny związany z całością narodowego koła, jest narodowy.

Skoro *habitus* narodowy osiąga się drogą wewnętrznego wysiłku, skoro jest to przytem *habitus* operatywny, to znaczy usprawniający do pewnego określonego działania, to wydaje się, że szczególną rolę w formowaniu go grają funkcjonalne nawarstwienia tkanki narodowej. Możnaby bodaj nawet powiedzieć, że *habitus* narodowy człowieka wyraża się przedewszystkiem w tym kręgu, który symbolizuje jego udział w twórczości cywilizacyjnej narodu, udział w tworzeniu konkretów i ładu, na których skolei *habitus* narodowy się funduje. Możnaby tedy wyróżnić np. *habitus* narodowy ludu, którego udział w twórczości narodowej polega — powiedzmy — na realizowaniu ładu wiejskiego życia gospodarskiego lub też jakiś *habitus* rządzenia, będący dyspozycją, usprawniającą do budowania ładu narodowego — politycznego i gospodarczego, w mniejszym lub większym zakresie. Możnaby też bodaj powiedzieć, że nietylko okrąg koła narodowego jest syntezą całej jego zawartości, ale syntezą taką są także w pewnym sensie i poszczególne kręgi wewnętrzne — mianowicie przedewszystkiem te właśnie kręgi funkcjonalne.

Obok tych różnic funkcjonalnych możnaby też wyróżnić, ściśle z tamtemi związane, różnice jakościowe, zależne od tego, jaki aspekt niewyczerpalnej idei narodowej znajduje w danym układzie realizację. Tak więc np. *habitus* narodowy dawnej szlachty polskiej zawierał nietylko te dyspozycje funkcjonalne, które określały funkcjonalną rolę tej tkanki narodu, a więc pieczę nad dobrem pospolitem, obronę kraju własną krwią i t. d., ale także i ideał rycerskości, ideał życia sielskiego, ideał pańskości życia.

Można sobie wyobrazić, że idea narodu jest pewnym abstrakcyjnym kryształem, wyobrażającym przez swą organizację przestrzeni ład narodowy. *Habitus* narodowy tedy byłby krystalizacją psychiczną człowieka. Im bardziej kryształ wewnętrzny jest regularny, im bardziej zbliżony do idealnnych zrębów idei narodu, tem doskonalszy jest *habitus* narodowy. Ale kryształ ten rozmaicie w psychice się załamuje, tworzy pewne formy pochodne, stanowiące o stopniu udziału w twórczości narodu, oraz nieskończoną ilość form nieregularnych, wynikających z przecięcia się z indywidualnością i kompleksem węzłów łączących jednostkę z narodem.

*

Rozważania powyższe przywodzą do przekonania, że odkryciem, którego dokonał światopogląd narodowy, jest to, że naród jest czynnikiem organizującym człowieka nietylko zewnętrznie, ale przedewszystkiem wewnętrznie. Rozróżnienie zaś stopni i odmian *habitus* narodowego, różnych co do zasięgu i rozpiętości, prowadzi do wniosku, że odkrycie to sprowadza się do odkrycia organizującego pierwiastka społecznego wogóle, którego formą najwyższą i pełną jest naród, ale i formy mniej rozwinięte, mniej złożone dokonują także pewnej organizacji wewnętrznej człowieka. Skoro zaś tak, skoro naród jest tylko najwyższem rozwinięciem tego pierwiastka, który i w postaci najbardziej już atomowej — przyrodzonej dyspozycji społecznej, znajdującej wyraz zewnętrzny w rodzinie—spełnia także swą rolę organizowania psychiki, zatem pojęcie człowieka przed-społecznego czy poza-społecznego jest abstrakcją, wynikiem spekulacji analitycznej, nie znajdującej potwierdzenia w życiu.

To zaś, że organizacja wewnętrzna, dokonywana przez czynnik społeczny, polega na zdyscyplinowaniu władz irracjonalnych psychiki w kierunku poznawczym, skoro *habitus* narodowy jest dyspozycją poznawczą, to godzi bodaj w stanowisko ewolucyjne w stosunku do narodu.

Pogląd, że społeczeństwo wytworzyło się drogą ewolucji od rodziny, poprzez plemię do narodu, jest przeniesieniem na sprawy społeczne tezy o ewolucji biologicznej człowieka. Tymczasem, skoro nauka o narodzie jest w gruncie rzeczy nauką o kulturze duchowej, a pierwiastek społeczny ma znaczenie psychiczne, to taki przyrodniczy stosunek do zagadnień narodowych wydaje się conajmniej nieużyteczny. Przyrodnicza obserwacja o ewolucji od jednostki do narodu niczego nie wyjaśnia. Jest to bowiem tylko obserwacja i mówi tyle tylko, że tak się j a k o ś stało, że powstały plemiona, potem z plemion narody. Ale naród nie wyniknął stąd, że tak się j a k o ś stało. Jest on tworem koniecznym. Przyrodzony jest bowiem pierwiastek społeczny. Pełną jego formą jest naród i, co najważniejsze, jedyną formą autonomiczną. Wszelkie bowiem niższe kręgi społeczne są tylko częścią organicznej całości narodu, tylko w nim i tylko przezeń istnieją. Kręgi niższe zawierają w sobie pierwiastki wyższe, są wrośnięte w tkankę narodu, stanowiącą organiczną jedność. Wyróżnienie tych kręgów jest to wynik spekulacji analitycznej, poprzedzającej syntezę i są one taką samą abstrakcyjną fikcją, jak i człowiek przed-społeczny.

Wydaje się tedy konieczne przyjęcie poglądu statycznego, wedle którego naród jako realizacja idei narodu, byłby tworem koniecznym, stworzonym, mającym swe określone miejsce w koncepcji stworzenia.

*

Idea narodowa pojęta tak, jak starałem się ją tutaj zreferować, jest ideą głęboko humanistyczną. Stawia ona postulat pracy wewnętrznej nad zdobywaniem coraz wyższego *habitus* narododowego, wzbogaca psychikę, wskazuje na możność osiągnięcia pełnego człowieczeństwa, pełnej wolności duchowej. Jest to idea bohaterskiego wysiłku wewnętrznego.

Habitus narodowy, organizując sferę irracjonalną psychiki, czyni z niej sprawny aparat poznawczy. Tę sferę, którą racjonalizm wieku XIX miał w pogardzie z racji jej płynności i nieuchwytności, dezorganizował ją i kazał jej działanie tłu-

mić na rzecz rozumu, *habitus* narodowy organizuje, wykorzystuje ku wzbogaceniu możliwości poznawczych człowieka. Głoszona przez ideję narodową rehabilitacja władz irracjonalnych nie wiedzie tedy do powrotu do jakiegoś stanu przedracjonalnego, stadowo-zwierzęcego. Samo zresztą pojęcie takiego stanu wydaje się równie niesprawdzalną w życiu abstrakcją, wynikłą ze spekulacji analitycznej, jak i człowiek przed-społeczny.

Idea narodowa — to pogłębienie humanizmu. Podczas gdy w w. XIX za pełnego człowieka, mającego udział w tworzeniu kultury, uważany był tylko człowiek, który pozyskał pewną sumę wiadomości, reszta zaś za biologiczną miazgę, — tutaj, przez złożoność kręgów, człowiekiem pełnym, tworzącym kulturę, staje się każdy, kto żyje życiem narodowem. Naród wciąga każdego do swej twórczości, jeśli nie zawsze gigantycznej, to jednak zawsze głęboko ludzkiej. *Habitus* narodowy ma w sobie miarę nie tylko na Chrobrych, Mickiewiczów i Wyspiańskich, ale i na chłopa, który stawiając swą polską chałupę, po polsku gospodarząc i po polsku chwaląc Boga, przyczynia się do tworzenia kultury narodu i wytwarza ten prosty ład, te konkrety, na których fundują się wyższe kręgi *habitus* narodowego.

*

W świetle pojęcia *habitus* narodowego rysuje się też w nowy sposób szeroko dyskutowane zagadnienie stosunku idei narodowej do katolicyzmu. Byłem zawsze przekonany, że punkty sporne mogłyby tu leżeć nie w kwestjach etyki, ale przedewszystkiem w kwestji stosunku narodu do jednostki. Gdyby stosunek ten polegał na instynkcie w sensie biologicznym — sprzeczność byłaby niewątpliwa. Katolicyzm bowiem rozumie człowieka jako fakt w stosunku do Boga jednostkowy i niezależny od niczego więcej prócz swej wolnej woli, instynkt zaś byłby czynnikiem ograniczającym tę wolną wolę, a zatem obalałby tę prawdę katolicyzmu, że życie jest wolnym wysiłkiem wewnętrznym, pielgrzymką do Boga. *Habitus* narodowy jednak w niczem nie determinuje wolnej woli, tak jak nie determinuje jej *habitus* sztuki, a jest przytem wynikiem i czynnikiem wewnętrznego wysiłku duchowego.

Habitus narodowy jest rozwiązaniem zagadnia życia, zagadnienia ładu Bożego. W rozwiązaniu tem, jak to już podkreśliłem, naczelną rolę gra przyjęta przez naród religja. *Habitus* narodowy zatem obejmuje pewne dyspozycje religijne, wyznacza stosunek do Boga i normy etyczne. W narodzie katolickim będą to więc zawsze dyspozycje katolickie. Zatem *habitus* narodowy polski jest w sposób konieczny tym właśnie ładem Bożym, który sformułowanie doktrynalne znalazł w doktrynie katolickiej. W tym sensie też nie jest groźne dla katolicyzmu to, że, jak powiedziałem, światopogląd jest rzeczą wiary.

HENRYK EYSYMONTT

ROZMOWA Z PRZYJACIELEM

(Dokończenie)

IV

J.: Przewracając jednak dalej karty Twojej książki, dochodzimy teraz do poezji „Marjańskiej". Dwa nad nią, zdaniem mojem, dominują szczyty: Norwid i Wyspiański. Wdzięczny Wam jestem, jako stary Krakowianin, żeście dali — z poezji ostatnio wymienionego — jego „dziwnego uroku" hejnał, ów „śpiew poranny polskich rycerzy do Najświętszej Panny". Ale dużo Wam jeszcze więcej jestem zobowiązany za wtajemniczenie mnie w arkana poetyckie „Litanji" Norwidowej, której dotąd nie znałem, bo nawet tak cenne studja Wasilewskiego nie uświadomiły mnie dostatecznie co do faktu, że z Norwidem mamy do czynienia jako z najgłębszym bodaj poetą naszym religijnym.

Ta jego „Litanja" (loretańska), utrzymana jakby w rytmicznym stylu rzymskich kościelnych melopei, tchnąca żarem modlitewnym, a przytem podsycana prądem filozoficznego namysłu, to, mój drogi, *clou* pierwszej części Waszej książki. Przy takich cymeljach, jak Norwidowa synteza *des ewig Weiblichen* (str. 153, w. w. 9 — 18), jak jego paralela pomiędzy Starym Zakonem a Nowym (str. 157, w. w. 1 — 5 od dołu), jak wylew anielskiej jakiejś czy fra-angelikańskiej liryki (str. 158, w. w. 7 — 12) — nie wytrzymają paragonu nawet przytoczone przez Was, a skądinąd tak piękne, strofki Juljuszowe o „czarnej Madonnie" i daruję Wam, żeście pominęli pełen rzewnego infantylizmu poemat marjański Kochowskiego, cytowany przez Tretiaka (*remember* przy ewentualnem drugiem wydaniu!), żeście — w poczcie *poëtae minores* — pominęli popularnego Antoniewicza, godnego następcę Sarbiewskiego i żeście znowu zapomnieli o Krasińskim („Przedświt"):

„Witaj, witaj — to królowa —
Po swym ludu długo wdowa
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali jej ojcowie..." i t. d.

R.: Dziedziczny wielbicielu Muzy pana Cyprjanowej! Wieleż nam w oczach Twoich przebaczone zostało dla małej, sprostowanej przez nas literki, która dotąd wadziła w tekście tej „Litanji".

V

J.: Wszakże nie tu kres jeszcze moich zachwyceń. Od ekstazy Norwidowej prowadzicie nas na święto Parakleta. Jak w końcowej scenie „Parsifala" potężnieją akordy Waszej polifonji, bo wzmaga się patos naszych wieszczów. Prowadzi ich Mickiewicz lapidarną, jak u proroka, inwokacją:

„Duchu, światło boże!
Gołąbku Syjonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu
Widomą oświeć postacią!"

I zgina Adam „gromowładne czoło" przed Panem, Pan zaś wznosi je w niebo, jak tęczę, co

„będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu —

I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze“.

Jest w tym wieszczu-klasyku i wczesny romantyk, co młodzieńcem już wzgardził był szkiełkiem i wywyższył czucie i — Filareta, co znienawidził „płazy" i — Konrad, co wyzwał był Stwórcę, a który przecie, jak Goethe w epilogu „Fausta", kończy swą kolej—wiernopoddańczą względem Boga apostrofą do człowieka:

„A promień wiary, którą Niebo wznieca
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadła oświeca.
Ach ty bez wiary — byłbyś niewidomy“.

Wokół zaś wielkiego „Mussagety" zgrupował się chór wieków — chór wieszczów. Bo i kogóż tam niema? Jest pośród piewców Pańskich sam Kopernik, który jednak w polskim przekładzie Ignacego Badeniego trąci zgołaż aforystyczną manierą wileńskiego klasycyzmu:

„To dziecię (Chrystus między doktorami) dwakroć starcem [dojrzałością ducha,
A starzec dwakroś dzieckiem, kiedy go wysłucha“.

Jest dalej Jan z Czarnolasu, już pełen patosu w swojej inwokacji Bożej:

„Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie“.

Brak nam znów w tem gronie Krasińskiego, ale jest zato — na placu — Słowacki z Bogiem swoich ojców,

„który na świtaniu
Ratuje ducha mego — i wieczorem
We łzach usypia — a budzi w błyskaniu
. . . .
Ten sam, który z tęcz nad potopem błysnął,
Za Izraelem szedł w ognistej chmurze,
W skale się ukrył i wodą wytrysnął,
Na górach stojąc, zamienił się w burzę
I piorunami swemi lud przycisnął“.

Bóg z „Beniowskiego" i „Króla-Ducha", Bóg z „Księdza Marka" i podniosłego „Creda" w stylu „Litanji" Norwidowej.

A dalej jest — Kasprowicz, rozparty rzewną tęsknotą za tymże samym Bogiem:

„Wszystko mi jedno, czy wstąpisz
Do głębi chciwego wnętrza
Jak grzmot i grom i łyskanie
Czy jako cisza najświętsza.

Czy jako żądza potężna
Czy wyrzeczenie, to jedno,
Bylebyś tylko rozpierał
Wnętrza mojego sedno“.

I jest wkońcu — patetyczny jak nigdy — Wyspański, wzywający „Tchu świętego", „Twórczego ducha" — „w sejmowem kole, w świętem świętych, w katedrze, w gromadzie gminy, w zborze pracujących, w hufie żołnierzy, w polu na roli, w domie, w zagrodzie rękodzielnika, we dworze, w pałacu, w zamku, w chat okolu, jak rzek strumienie od poników gór po wód roztocze..., w orce, przy ziaren siewie, jak mowa sięga..."

A ileż wonnych jeszcze daliście nawiązek w tej koronie zielono-świątecznej: od elegji rokoszowej Miaskowskiego i Szymonowica sielsko-staropolskiego „*Veni Creator*", poprzez ekstazę ziemiańską Ujejskiego, do współczesnych hymnów i psalmów Lieberta albo Ruffera.

VI

R.: Powiedz mi jeszcze słówko o naszych mottach, Ty, amatorze cytat lapidarnych!

J.: Będzie o tem szerzej mowa przy rozdziele: „Aniołowie i żołnierze", a teraz chcesz zapewne, abym Ci pochwalił motto do Waszego „Bożego Ciała":

„Słowo stało się ciałem, ażeby nanowo
Ciało twoje, człowieku, powróciło w słowo“.

Tak — i tu znowu — Mickiewicz poprzedza zastęp *de bons poètes*, prawdziwych piewców Chrystusowych.

Jest więc wśród nich i świetny Kochowski, z plejady psalmistów staropolskich i — znowu Mickiewicz, jako tym razem drużba duchowy nabożnej Marceliny Łempickiej i — wczesny parnasista Sowiński, bliższy wszakże starszych romantyków od Asnyka i — znowu tryskający idealizmem Norwid, a z współczesnych: Staff, lapidarny epigramatyk, Słonczyńska, wdzięczna chrystografka, jakoteż inni.

VII

Wchodzimy teraz za Wami do sarmackiego Panteonu, do świętej „Walhalli" atletów Chrystusowych — mówiąc barokowym nieco stylem.

Stoją tu dwa gatunki ołtarzy: swojskie i obce. Na frontonie bowiem widnieje modlitwa do Wszystkich Świętych, pióra Skargi, jako naczelnego Polski hagjografa. Wzdłuż zaś ścian tej świątyni dumania religijnego, jakby na barwnych freskach, widnieją postaci patronów polskich: Wojciechów, Stanisławów, Jacków i Kazimierzów i kandydatów do „niebieskiej korony", jak Jadwiga i „brat Albert" oraz — drugi gatunek: obcych świętych patronów, złączonych z nami w uniwersaliźmie Kościoła, więc — Marja z Magdali, Rzymianka Agnieszka, Włoch Franciszek z Assyżu i Hiszpanka Teresa i Elżbieta węgierska, w kruchcie zaś tej świątyni — umęczone świeżo zwłoki księdza Butkiewicza.

Albowiem, po wspomnianej już antyfonie Skargi, daliście niemniej piękne: „Męczeństwo św. Wojciecha" Żeromskiego, dalej jędrną tercynę Wyspiańskiego o kulcie św. Stanisława biskupa:

„Naród się męką w życie rwie
I idzie śladem świętej krwie,
Przez mękę krwi poczęty“

i barsko-barokowy trójwiersz o św. Stanisławie Kostce:

„Patrz tylko i Ty, Kostko, z naszych kości,
Jakich w ojczyźnie Twojej mamy gości (= Moskali),
Bądź kością w gardle nieprzyjacielowi...!“

Dwie znów kobiety wielbią wyznawcę i męczennika ostatniej doby: Maryla Wolska — brata Chmielowskiego, Kazimiera Iłłakowiczówna — księdza Butkiewicza. Pośród zaś *laudes* świętych „egzotycznych" prym, oczywista, trzyma „Glossa" Krasińskiego.

R.: Masz tedy nareszcie i tego Twojego ulubieńca. Przyznaję, że przydałby się był w naszem wydawnictwie „Irydjon", którego poświęciliśmy wszakże narówni z „Judaszem" Rostworowskiego.

VIII

J.: Zrehabilitowaliście się zresztą w moich oczach, nie pomijając również wspaniałej iście, Zygmuntowej „Modlitwy za umarłych". Upamiętniliście także wielkie rozdarcia dziejowe: Zygmunta i Barbary (Wyspiański), Jana i Urszuli („Treny"), nie przepominając wkońcu arcy-trenu Wyspiańskiego („Ach, któryż jestem żywy").

Bije z tych kart żałobnych pewność i nadzieja, *spes bona certaque*:

U Kochanowskiego, że

„my (umarli) owszem żywiemy żywot tem ważniejszy
Czem nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy.
Ziemia w ziemię się wraca, a duch z nieba dany
Miałby zginąć...?"

U Wyspiańskiego:

„Cóż to? Na marach trup?
to ciało tylko leży,
lecz duch jak ognia słup.

. . . .

Już słyszę: biją dzwony
wysoko w niebios strop;
trup dawno pogrzebiony,
duch niesie pełny snop".

U Kasprowicza:

„Pogardził Bóg lichem ciałem,
W pierwotny proch je rozkrusza,
Lecz tego jam wielce pewien,
Że wielce mu drogą jest dusza".

Dodajmy do tego wszystkiego godną arcydzieła Galsworthy'ego („Śmierć Jolyona"), „Śmierć Boryny" Reymonta, jak również nie poskąpione nam przez Was zaciszne *intérieur*'y Maryli Wolskiej i wkońcu przewspaniałe wojenne *Dies irae* Kasprowicza:

„Ofiar zbrodniczych stuleci
Nie ujrzą już drobne dzieci —
Przestrach im w oczach świeci".

IX

R.: Doszliśmy tak do rozdziału X-go. Pozwól, że sam Ci odczytam jego motta: Gallus, Kochanowski, ksiądz Skorupka.

J.: Tu, „nacjonalisto" polski, jesteś w swoim żywiole. Uważaj, iżby Cię nie przeklęli nasi „katolicy lewicowi"!

Otwiera ten Wasz polonez sam „proboszcz poznański", niegdyś „cichy ksiądz w kapitule", imci Kochanowski. Scena naszego widzenia odrazu zaraja się od aniołów:

„Aniołom swoim każe cię pilnować
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś idąc drogą,
Na ostry kamień nie ugodził nogą" (— mówi wieszcz Jan).

A wieszcz Juljusz:

„Cherubiny wówczas rzędem stoją
I puklerze z ognia złotowłose,
Przeciw duchom złym mają zwrócone,
Płaszcze, tarcze, jak żelaza czerwone".

Pod wodzą niejako tych „aniołów konnych" wkracza teraz na estradę Waszą staropolski orszak rycerski. Zapowiada go (czy raczej rekomenduje) świetna tyrada Miłaszewskiego, godna Norwidowego „Don Kiszota" [1]):

„I my walczymy, chrześćjanie,
O sławę, lecz wiekuistą,
Nie dla nas — dla Ciebie Panie,
Na śmierć gotowi — *pro Christo!*

. . . .

Rycerstwo — podłości postrach —
W naszej pielgrzymce wytrwałej,
Depcem po zbrodniach i monstrach,
Jako po stopniach do chwały".

Zatem w hufcu tych chrześcijan-rycerzy prezentuje się nam i Henryk Pobożny, jako zjawa z witrażu Wyspiańskiego i Zawisza — Tetmajera i Oleśnicki — Słowackiego i Warneńczyk — Kochanowskiego i hetman Tarnowski — E. Wasilewskiego i kanclerz Zamoyski — w mowie własnej i Żółkiewski — Twardowskiego i Chodkiewicz — Potockiego i dwaj inni Wazowscy hetmani — Woronicza i Czarniecki — Niemcewicza i Kordecki — Sienkiewicza i Jan III — Szujskiego i Pułaski — znów Słowackiego i Kościuszko — Lenartowicza i książę Józef — Pola i — Barzanie i Napoleończycy i Filareci i Listopad i Styczeń i Sybiracy i Leguni i Orlęta.

X

R.: Dałeś nam rzęsiste brawo. A teraz, jak Beckmesser, uderz pałeczkami w tabulaturę!

J.: Cóżbym ja miał Wam do zarzucenia? W ostatnim ustępie brak mi chyba pysznej, przedwojennej jeszcze, ballady Kleszczyńskiego o księciu Józefie oraz śpiżowych stanc wojennych Słońskiego. Więcej nie pamiętam.

R.: Przyznaj zresztą, że umarli niemal w komplecie stanęli nam do apelu. Brak paru żywych, co „bałamucą się w Bizancjum".

J.: Masz rację. Ulgę poczułem, że „Chór wieków" wyszedł przed ostatnią kolendą Iłłakowiczówny.

Ale *„politisch Lied, garstig Lied"*. Milsze mi są niewymyślne strofy konfederatów, którym „kłaniało się chłopstwo, żydy, zboże", a które po swojemu strawestował kongenjalny autor „Księdza Marka" — otuchą mnie napawa, co do chaotycznie skłóconej dzisiaj Polski, jego wieszczba, takiem krzepiącym akordem zamykająca Waszą książkę:

„Podnieście teraz czoła od wieków trapieni,
A więcej się nie bójcie żadnego ucisku,
Pan ciała wam przemieni
I miasto swoje złote postawi na błysku".

A, kończąc to pisanie, sięgam do uwielbianej „Glossy", aby stwierdzić, że słuchając przez święta chóru anielskiego tych Waszych stuleci, głoszącego chwałę Bożą i pokój ludziom dobrej woli, czułem, jak ten wielki i ukochany wieszcz Zygmunt w wizji św. Teresy, że:

„Ty Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały,
Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie,
Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie
Przez nieskończonej Łaski zespolenie,
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie,
Stworzenie w Stwórcę przez jedno westchnienie".

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

---

[1]) Publikowana też przezemnie *avant la lettre* w „Rodzinie polskiej".

RUDYARD KIPLING

WUBIEGŁĄ sobotę gazety doniosły, że w nocy z 17 na 18 stycznia o godzinie 0.10 w szpitalu w Middlesex, po operacji wrzodu w żołądku, rozstał się z tym światem najsławniejszy z angielskich poetów na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, Rudyard Kipling. Zanim jakieś pióro bardziej powołane odda na łamach „Myśli Narodowej” należny hołd pamięci i zasługom Zmarłego, ośmielam się to uczynić prowizorycznie na własną rękę, sposobem dziennikarskim raczej, niż literackim, zabierając głos w imieniu tych bezlicznych wielbicieli sławnego pisarza, którzy... nie umieją po angielsku.

*

Cóż o nim wiem? Bardzo niewiele. Tyleż akurat ile wie każdy przeciętny Polak, który zapoznał się z większością jego utworów przełożonych na nasz język, oraz z kilku przekładami francuskiemi. O Kiplingu czytałem tylko rozprawkę Ignacego Matuszewskiego, dołączoną jako przedmowa do „Ksiąg Puszczy” przekładu Józefa Czekalskiego, *essay* André Maurois'a w najnowszej jego książce p. t. „*Magiciens et logiciens*“, zawierającej szereg szkiców krytycznych o współczesnej literaturze angielskiej, oraz kilka artykułów w gazetach.

Wiem tedy, że Rudyard Kipling urodził się w Bombay'u w roku 1865. Był synem utalentowanego rysownika Johna Lockwooda Kiplinga, ożenionego z panną Alicją Macdonaldówną, córką anglikańskiego duchownego, której jedna siostra poślubiła słynnego malarza Burne Jones'a, druga wyszła również za malarza Edwarda Poynter'a, trzecia za przemysłowca Alfreda Stanley'a, ojca Stanleya Baldwina, późniejszego przywódcy konserwatystów, teraźniejszego premjera. Ojciec Rudyarda w chwili urodzenia przyszłego autora „Kima” piastował godność dyrektora bombajskiej Akademji Sztuk Pięknych, ogłosił on drukiem ilustrowaną przez siebie książkę p. t. „*The Man and the Beast in India*”, ilustrował później utwory synowskie. Rudyard był dzieckiem dosyć słabowitem. Miał za mamkę miejscową bombajską „*ajah*”; zanim nauczył się mówić po angielsku, gaworzył po „hindustańsku“, czyli w żargonie utworzonym z rozmaitych indyjskich dialektów. W piątym roku życia rodzice wysłali go do Anglji, ponieważ klimat indyjski dziecku nie służył. Do jedenastego roku życia wychowywał się w Portsmouth w rodzinie pewnego dymisjonowanego oficera marynarki; następnie został wpisany w poczet uczniów *United Service College, Westward Ho.* Wspomnienia wyniesione z owej szkoły dostarczyły mu później materjału do powieści p. t. „Stalky i Spółka”. Jako młodzieniec siedemnastoletni powrócił do Indyj: Ojciec jego w międzyczasie został mianowany konserwatorem muzeum w Lahore (opis owego muzeum, nazywanego przez krajowców „Domem Cudów”, znajdujemy w „Kimie”). Zmuszony warunkami materjalnemi Rudyard poświęcił się zawodowi dziennikarskiemu, obejmując posadę w „*Civil and Military Gazette*“. Zamieszczał w owem piśmie od czasu do czasu swoje wiersze, przeważnie krótkie poemaciki humorystyczne, wyszydzające życie Anglików w Indjach i zdumiewające czytelników mistrzowstwem formy. (Maurois stawia je wyżej od młodzieńczych utworów Byrona i Wiktora Hugo). W dwudziestym pierwszym roku życia wydał w stolicy Pendżabu pierwszy zbiorek swych wierszy p. t. „*Departmental Ditties*“. Wkrótce potem porzucił „*Civil and Military Gazette*“ i przeniósł się do „Pioniera Allahabadzkiego“. Pracując w owem piśmie napisał i wydał na miejscu, t. j. w Indjach, kilka tomów prozą, zawierających krótkie opowiadania realistyczne z kolonjalnego życia żołnierzy, oficerów i urzędników angielskich. Gdy opowiadania owe pojawiły się w Londynie, krytyka przyjęła je entuzjastycznie, księgarze pośpieszyli zaś z zaliczkami na przedruki i nowe utwory, wskutek czego dobrze odtąd sytuowany młody pisarz (miał podówczas lat dwadzieścia trzy) mógł sobie pozwolić na porzucenie dziennikarstwa, odbycie szeregu dalekich podróży i ożenienie się w parę lat później z panną Karoliną Balestier, córką wydawcy amerykańskiego. W miarę ukazywania się coraz to nowych tomów Kiplinga popularność jego w Anglji nieustannie wzrastała i doszła do szczytu natężenia na schyłku wieku ubiegłego jeszcze przed pojawieniem się „Ksiąg Dżungli”, które wyszły z druku w latach 1894—1895. W r. 1897 Kipling napisał słynny hymn „*Recessional*“ z okazji sześćdziesiątej rocznicy wstąpienia na tron królowej Wiktorji. Przed wojną południowo-afrykańską odbył podróż do Transwaalu. Podczas wojny angielsko-boerskiej uprawiał zaciekle propagandę imperjalistyczną. Przepowiedział trafnie po śmierci burskiego jenerała Jouberta pojednanie się Burów z Anglikami. Podczas powstania irlandzkiego zagrzewał swemi wierszami do walki ochotników ulsterskich. Był gorliwym rzecznikiem przymierza z Francją. W r. 1907 otrzymał nagrodę Nobla. W ostatnich latach życia mieszkał na farmie Bateman's, w hrabstwie Sussex, opisanej w „Puck'u”. Podczas wielkiej wojny stracił ukochanego syna. Na schyłku swej karjery pisarskiej był mniej popularny w ojczyźnie swojej, niż na kontynencie. Nie udzielał z zasady dziennikarzom wywiadów. Niechętnie pozwalał się fotografować.

*

Gdy myślę o Kiplingu, przypomina mi się przedewszystkiem dziki kot, który chadzał własnemi dzikiemi drogami po dzikim lesie, dzika jaskinia służąca za dzikie mieszkanie dzikiemu mężczyźnie, co polował na dziką zwierzynę przy pomocy dzikich strzał, dzikich łuków i dzikich oszczepów, dzika kobieta czesząca dzikie włosy dzikim grzebieniem (wyrzeźbionym jeżeli się nie mylę z dzikiej łopatki dzikiego barana), wyczyniająca dzikie czary dzikim śpiewem i kołysząca nim do dzikiego snu dzikie dziecko; wreszcie dziki pies, który pierwszy ze wszystkich dzikich zwierząt dał się dzikim ludziom oswoić i pomógł dzikiej kobiecie wydoić dziką krowę, a dzikiemu mężczyźnie złowić i okiełznać dzikiego konia.

Bez porównania mniej dokładnie przypominam sobie inne historyjki z tej samej serji, historyjki o wielbłądzim garbie, o zadnich łapach kangura, o plamach pantery. Właściwie z bajek owych pozostały mi w pamięci tylko szczególiki niektórych obrazków: arka Noego na wierzchołku góry Ararat,

napis PATENT na woreczku służącym kangurowi do noszenia dzieci i murzyn, którego nie widać z powodu mroku.

Nigdy jednakże (przynajmniej do końca życia doczesnego) nie zapomnę napewno historyjki o trąbie „małego słonia“. Nie zapomnę jej mianowicie dlatego, iż zainspirowała ona zabawę uprawianą we wczesnem dzieciństwie z zapałem przezemnie i przez cokolwiek młodszego odemnie przyrodniego mego brata. Nieskomplikowana, niewinna owa igraszka polegała na tem, że jeden z nas chwytał drugiego za nos, schwytany zaś najpierw mruczał, następnie zaś wrzeszczał na całe gardło:

— Puszczaj, jesteś niegrzeczne zwierzę!

Nazywało się to zabawą w „małego słonia“.

Nie wymyśliliśmy jej sami. Inicjatorem jej—o ile mnie pamięć nie zawodzi— był mój ojczym, który bardzo lubił brać w niej udział, występując oczywiście zawsze w roli krokodyla, fabrykującego „małym słoniem” trąby. Używam nałogowo terminu „mały słoń” nie zaś poprawniejszego wyrażenia „słoniątko”, ponieważ zbiór opowiadań, który dzisiaj jest w polskich pokojach dziecinnych rozpowszechniony pod tytułem „Takie sobie bajeczki”, przeczytałem po raz pierwszy (w zamierzchłych czasach pomiędzy wojnami angielsko-boerską i japońsko-rosyjską) w starszym, dosłowniejszym, gorszym od sprzedawanego teraz w księgarniach przekładzie. Tytuł jego brzmiał: „Takie sobie historyjki”. W dwadzieścia lat później bawiłem się z moją malutką podówczas córką już w „słoniątko”. Zmiana nazwy nie zmieniła w niczem istoty zabawy. Zawołanie: „Puszczaj, jesteś niegrzeczne zwierzę!” stało się w naszym domu czemś w rodzaju przysłowia, czy raczej porzekadła stosowanego w najprzerozmaitszych okolicznościach, czasem zgoła nie *à propos*, ni stąd ni zowąd, ni w pięć ni w dziewiętnaście. Używają go w djalogach rodzinnych wszystkie pokolenia: zarówno mój ojczym i moja matka, jak ja sam, moja żona i moja córka. Za nosy się już nie wodzimy, bo jesteśmy na to za dorośli, ale wspomnienie „małego słonia” odżywa często.

Zgorszy się być może ten i ów z co wrażliwszych czytelników, że w artykule żałobnym pozwoliłem sobie wywlec na *forum* publiczne te sprawy osobiste, intymne, domowe. *Notabene* sprawy zgoła nie poważne, a w dodatku banalne, pospolite, bo przecież gdybyśmy urządzili ankietę pośród lokatorów szarych warszawskich kamienic przy ulicach Nowogrodzkiej, Żórawiej, Wspólnej, Hożej, Wilczej, Pięknej i Koszykowej, to okazałoby się najprawdopodobniej, że zabawa w „słoniątko” uprawiana bywa conajmniej w setkach, jeżeli nie w tysiącach inteligenckich mieszkań. Poco zatem to uczyniłem? Otóż uczyniłem to w tym celu, aby unaocznić samemu sobie i łaskawym czytelnikom, jak bardzo głęboko sięgnął wpływ Kiplinga w życie domowe polskich rodzin.

Piśmiennictwu naszemu została przyswojona zaledwie drobna cząstka ogromnego dorobku literackiego tego nadzwyczaj płodnego pisarza. Polscy tłumacze jego dzieł przeważnie pooszpecali je srodze i pokaleczyli niemiłosiernie. Zdarzają się coprawda przekłady znakomite (za chwilę urywek takiego przekładu przytoczę), ale zdarzają się one wyjątkowo. Pomimo to, nawet w słabych tłumaczeniach, najlepsze z dzieł Kiplinga nie tylko nas zachwycają, ale także, jak to właśnie starałem się pokazać powyżej na przykładzie „małego słonia”—kształtują w pewnej mierze nasze obyczaje.

*

Drugie już pokolenie polskich wilczków harcerskich, czyli poprostu, jak się za moich szkolnych czasów mówiło—skautów, uczy się z własnej pilności przykazań życiowych od mądrego niedźwiedzia Baloo:

Lampart centkami się szczyci,
w rogach jest chluba bawołu.
Bądź schludny, bo lśniąca skóra
z siłą się łączy pospołu.
Że byk wziąć umie na rogi,
jeleń ubodzie w potrzebie,
O tem nie rozpowiadaj,
wiemy to lepiej od ciebie.
Nie waż się krzywdzić maleństwa,
miej je za braci i siostry.
Słabe to i nieruchawe,
lecz rodzic pazur ma ostry.
Rzekł młodzik dumny z połowu:
„I któż się ze mną upora?“
Puszcza jest wielka, tyś mały.
Pomyśl, a przyjdzie pokora.

Drugie już pokolenie naszej młodzieży, nietylko studjuje „Prawo Puszczy”, nietylko żyje w serdecznej przyjaźni z Żabką Mowglim, z małym Toomai od słoni, ze słoniem Kalą Nagiem, z walecznym ichneumonem Rikki Tikki Tawi, z ptasim krawczykiem Darzee, z „chołostiakiem” Kotikiem, z wężem Kaa, z sępem Chilem, z panterą Bagheerą, z całą gromadą wilków z Seeonee, nietylko pogardza nierozumnym ludem Bandar Logu i nienawidzi tygrysa Shere Hana, szakala Tubaqui, okularnika Naga i żony jego Nagainy, ale także uprawia opisaną w jednej z Kiplingowych powieści sławną „grę Kima”.

Otóż macie wtóry przykład wpływu wielkiego pisarza na życie polskie; na nasze metody wychowawcze.

Słóweczko o owej grze.

Mając zaszczyt należeć do jednego z najpierwszych zastępów skautowych, jakie zostały zorganizowane na kilka lat przed wybuchem Wielkiej Wojny przez ś. p. Andrzeja Małkowskiego, uprawiałem ją osobiście. Nie byłbym dzisiaj w stanie z absolutnie czystem sumieniem poprzysiądz, że owo ćwiczenie psycho-gimnastyczne (niezbędne podobno jako trening w zawodzie wywiadowcy) szczególnie mnie ekscytowało. O ile pamiętam, uprawiałem je raczej z obowiązku, niż dla przyjemności, starając się zresztą wkładać w tę zabawę jaknajwięcej dobrej woli, ponieważ mnie zapewniali moi przełożeni, że „gra Kima” rozwija (oczywiście tylko pod tym warunkiem, że jest usilnie, długo i wytrwale praktykowana) harcerską zaletę przytomności umysłu i spostrzegawczości. Znałem jednakże chłopców i to chłopców wcale nie bylejakich, którzy w tej grze nietylko celowali, ale którzy (co dziwniejsza!) szczerze ją lubili. Jeżeliby jaki dzisiejszy skaut uważał przypadkiem, że „gra Kima” jest raczej nudnawa niż zabawna, niechaj — zaklinam— nie żywi o to pretensji to nic jako żywo nie winnych temu cieniów Kiplinga. Powieść jego p. t. „Kim” jest niewątpliwie lekturą, zwłaszcza w wieku dojrzalszym, nader zajmującą. Za wprowadzenie „gry Kima” do zabaw skautowych odpowiada przecież nie autor powieści, któremu, gdy utwór swój wydawał w roku 1901, o skautingu ani się śniło, lecz zupełnie kto inny, bodajże naczelny skaut świata — generał Baden Powell.

STEFAN GODLEWSKI

NA WIDOWNI

Trochę polemiki, trochę wyznań.— Naogół sprawa literacka. — Chodzi o to, czy prawda szkodzi badaniom literackim, czy też wszyscy mamy robić tylko legendy.

MŁODY badacz literatury, p. Tadeusz Makowiecki, w styczniowym zeszycie „Marchołta" zamieścił krytykę moich ostatnich prac literackich bardzo dla mnie niepochlebną. Podkreśliwszy czerwonym atramentem szereg punktów, postawił pod „Norwidem" notę ujemną: „zła książka", pod drugą zaś (o Żmichowskiej) — książka niepotrzebna. Zerznięcie takie jest tem boleśniejsze, że najwidoczniej zgodne z opinją redaktora, prof. S. Kołaczkowskiego, który krytykę zamawiał. Pisano o tych książkach wiele i rozmaicie — były też i dowody uznania dla nich (choćby nagroda Akademji); byłoby też dziwne i nawet nieobyczajne reagować na krytykę ujemną, gdy się nie dziękowało za dodatnie. A jednak piszę o p. Makowieckim.

Wydawało mi się rzeczą naturalną, że trzeba zaczynać robotę poznawania zjawiska od początku. Nigdybym tego nie robił, żeby zamiatać schody z dołu do góry... Tymczasem p. Makowiecki przyczynę wszystkiego zła w mojej książce widzi w tem, że zadużo poświęciłem uwagi Norwidowi młodemu, a późniejszy jego wiek poniechałem. Nadomiar dałem tytuł „Norwid", jakby on był cały. Cóż na to powiedzieć? Nie umiałem nazwać młodego Norwida inaczej, bo to był przecież Norwid, a że nie dobrnąłem do końca? *Feci quod potui, faciant posteriora potentes.* Nikogo nie oszukałem, w przedmowie bowiem rzecz wyjaśniłem. Nie zdołałem posągu, zrobiłem popiersie.

P. Makowieckiemu popiersie to niepodoba się: całkiem niepodobny.—Do czego niepodobny?— Do portretu Szyndlera. Ja jakoby zapatrzyłem się niepotrzebnie w autoportret poety z lat jego młodzieńczych, a tymczasem istnieje dzieło Szyndlera (portret „uduchowiony") i opis Stefana (?) Genjusza. P. Makowiecki boi się widoku Norwida prawdziwego, tak się zżył z narzuconemi mu o poecie wyobrażeniami. Teraz ja mam być temu winien, że go nie widzę „z brodą proroka". O nie! Ja i temu nie jestem winien, że portret Szyndlera podobniejszy jest do Mierosławskiego, niż do autentycznych dagerotypów Norwida. Ale co to ma do charakterystyki mojej, tyczącej wnętrza Norwidowego?

Fakt zainteresowania się mojego wiekiem młodzieńczym Norwida p. Makowiecki tłumaczy „dzisiejszą modą na młodzieńczość i przesadnym entuzjazmem dla wczesnych lat". Masz tobie. Kiedyś w szkołach pisałem wypracowanie na temat ciceronowski *de senectute.* Przekonałem starego profesora, że tylko starość — niema jak starość, i dał mi piątkę. Teraz młody profesor stawia mi dwóję za to, że śpiewam „*giovinezzę*", a poniewieram starość. To już widocznie przychodzi z wiekiem—i na p. M. przyjdzie...

Ale bez żartów—zadużo widzę w tym wywodzie publicystyki i nie rozumiem jej zastosowania do tego wypadku. Boć jednocześnie zarzuca mi się, że bez entuzjazmu potraktowałem młodość Norwida, a z drugiej strony, że zająłem się nią pewno dlatego, że młodzieńcze utwory są łatwiejsze i mniej wymagają od badacza wysiłku. Więcej w tem złośliwości, niż namysłu. Bo przecież p. M. bierze się do utworów starszych nie dlatego tylko, że są trudniejsze. Byłby to stosunek do rzeczy czysto sportowy.

P. Makowiecki nie dostrzegł u badaczy utworów młodzieńczych pewnego podstępu, mianowicie, że oni, zabierają się do tych pierwocin już po zaznajomieniu się z utworami dojrzałemi, a nawet więcej — zabierają się do nich właśnie dlatego, że ich zainteresowały utwory z wieku późnego. Niktby się nie zajmował „Pierwiosnkiem" Mickiewicza lub „Świtezianką", gdyby to nie były utwory autora „Dziadów" i „Pana Tadeusza". Któżby się entuzjazmował źródłami potoków w Baraniej Górze, gdyby nie Wisła płynąca do morza?

Porównanie z rzeką oczywiście nie jest ścisłe, bo rzeka się odnawia dopływami i pomnaża, ale człowiek jest od urodzenia ten sam. Nie z tkliwej ciekawości idziemy do kolebki poety, lecz żeby sobie pomóc do zrozumienia jego twórczości w wieku dojrzałym. Rozbiór filologiczny i estetyczny utworów nie jest ostatecznym celem myśli badawczej, która szuka w utworach duszy ludzkiej. Trzebaż twórcę mieć przed oczami, skoro z nim obcujemy. Inaczej gościć będziemy w jego domu bez gospodarza, plądrować rzeczy martwe, a krytyk jest od tego, żeby twórczość była dla ludzi żywa. Nie mumifikować ją, nie legendy z niej robić, nie imaginować portretów, wylepiając plasteliną kupione w antykwarni gipsy, lecz ożywiać.

Jednym ze środków bardzo ku temu pomocnych jest odszukanie przez biografję i przez badania utworów najmłodszych tego, co w zjawisku twórczem przypada na właściwość danej natury pisarza. Dorobek twórczy czyjegoś żywota nie jest rzeczą martwą, która odpadła od człowieka—żeby ją wskrzesić historycznie, trzeba odtworzyć człowieka, który ją sprawił. Bo ta twórczość to jego żywot.

Nie należy i w życiu i w sztuce lekceważyć personaljów przyrodzonych, lub w młodości nabytych. P. Makowiecki powątpiewa, czy słuszna jest moja teza, że zasada budowy psychicznej nie zmienia się z wiekiem. Zostawmy ten spór akademicki psychologom; w danym wypadku wystarcza stwierdzić, że u Norwida nie zmieniła się.

Warsztat każdego żywota daje się porównać do chłopskiego warsztatu tkackiego, gdzie nic począć nie można bez postawu, a tym postawem są siły żywotne człowieka w przyrodzonych właściwościach. Wartość każdej twórczości zależy nietylko od wątka, który się nawinie konjunkturalnie pod rękę, ale też i od postawu, czy normalnie jest założony. Bodaj ważniejsze od wątka są motywy tworzenia, a te tkwią w osobowości. Niewątpliwie ma rację p. M., że osobowość z wiekiem może się konsolidować i do pełni swojej wyrównywać, ale też może być inaczej. W postawie owym mogą być braki od początku i poszczególna nić nie tężeć będzie, lecz pękać, a wtedy cała tkanina twórczości pomimo najładniejszych wzorów i najlepszych materjałów tworzywa, będzie robiła wrażenie fragmentami, nie całością, przypominając ruiny.

Nie z entuzjazmu tedy dla młodości i nie dla łatwizny zaglądа się do wnętrza ludzkiego. Robiąc tę partję, uważałem za potrzebne dodać charakterystykę ogólną z późniejszą twórczością włącznie, aby pokazać związek zachodzący w osobowości poety między młodemi i staremi laty, wyjaśniający całość zjawiska, a to w celu udowodnienia, że spostrzeżenia moje były trafne. P. Makowiecki przekonałby mnie, gdyby przedstawił swój odmienny

sposób wyjaśnienia osobistości poety, jako przyczyny zjawisk literackich, a to było mojem zadaniem. I to naprzód trzeba zrobić, nie zaś zaczynać i kończyć podziwianiem osobliwości utworów.

Weźmy dla przykładu kompleks psychiczny „ruin", tak uderzający w twórczości Norwida. P. Makowiecki w doskonałej rozprawce na ten temat, zamieszczonej w miesięczniku „Droga" (nr. 11) stwierdził, że „stygmat ruin" w twórczości Norwida sięga bardzo głęboko i szeroko, nie tylko do tematyki należy, lecz przenika głęboko w motywy jego wyobraźni i techniki artystycznej, a nawet ciąży na losach jego dzieł. Ale p. Makowiecki ogranicza się stwierdzeniem i wyrazem podziwu dla tego zjawiska, mnie zaś obecnie ma za złe, że usiłowałem przyczynić się do zrozumienia przyczyny tego dziwnego zjawiska. P. Makowiecki się dziwi, a ja rozumiem istotę tego stygmatu. Kult Norwida tak fałszywemi poszedł tory, że norwidolodzy boją się wyznać prawdę, iż ten stygmat jest widmem, ścielącem się w tło dzieła, osobistej ruiny.

Najszlachetniejsze są pobudki wymijania tej prawdy, ale przyszedł czas, że bez wprowadzenia tego kąta widzenia nie da się prowadzić dalej badań nad twórczością Norwida. Próżno się dąsać — tej prawdy nikt jeż nie wyminie. Mniejsza o „brodę proroka", która tak wielką grała rolę w legendzie; daleko ważniejsze jest stwierdzenie wadliwości owego „postawu" w Norwidowym warsztacie.

Ogłoszone teraz (w „Przeglądzie Współczesnem", listopad i grudzień 1935) studjum Gomulickiego o bracie Cyprjana, Ludwiku Norwidzie, ustala ponad wszelką wątpliwość, że ród dźwigał po ojcu dziedzictwo degeneracji. Stwierdzenie tego podstawowego faktu kładzie granice dowolnościom w traktowaniu twórczości poety jako pewnego systemu jednolitych myśli i natchnień. Norwida można rozważać, jak tego usiłowałem w książce swojej dowieść, tylko jako artystę, ulegającego różnym, nieraz sprzecznym widzeniom świata. Próżno więc p. Makowiecki, gdy stwierdzam kolejno stany duchowe poety, mnie zarzuca sprzeczności; nie może przecież utrzymywać, że „Promethidiona" snującego program budownictwa, pisał ten sam Norwid, dręczony „kompleksem ruiny".

Z systemem uczuć nie było dobrze. P. Makowiecki przyłapuje mnie na rzekomych sprzecznościach, gdy mówię o brakach życia uczuciowego w psychice Norwida, a z drugiej strony przypisuję dodatnią rolę w natchnieniach poetyckich jego tęsknocie do kraju, specjalnie do Warszawy. Zaznaczając oschły jego stosunek do przeżyć osobistych z ludźmi (choćby do wspomnień rodzinnych), miałem na myśli kategorję uczuć, płynących z sympatji. Nie zaprzeczałem istnienia instyktów fizycznych takich, jak skłonności dziedziczne, czy nostalgja, jak również nie kwestjonowałem silnie rozwiniętych uczuć intelektualnych, mistyczno-religijnych, a zwłaszcza estetycznych.

Zdawało mi się, że w sposób dostateczny suggerowałem czytelnikowi rozróżnienie między rolami, jakie w jego życiu spełniały jego właściwości somatyczne, prądy idące ze środowiska warszawsko-mazowieckiego i z ducha ówczesnych uniesień intelektualnych, które go porwały z Warszawy itp. Widocznie zbyt mało kropek stawiałem nad i, nie zostałem przeto zrozumiany. Przyznaję, niepotrzebnie zawierzyłem autobiografji poety co do jego pochodzenia normandzkiego, bo jak dowiaduję się od prof. Brücknera, nazwisko jego nie ma w sobie nic normandzkiego. Pełno takich na Mazowszu z napływu litewskiego i staropruskiego.

Postanowiłem sobie sprzeciwić się p. Makowieckiemu, którego prace badawcze bardzo cenię, głównie dlatego, że mnie sprowokował swoją złośliwością w wyszukiwaniu błędów bez dostatecznego zaznaczenia „zdobyczy", o których na końcu pobieżnie wspomina. Widzę w tem wszystkiem więcej uczuciowej reakcji kultu, wśród którego p. Makowiecki wzrósł, niż ochoty dochodzenia prawdy. Mistrz p. M. — prof. Cywiński, zarzucił mi jednocześnie w „Pamiętniku Literackim" coś więcej, bo „złą wolę". P. Makowiecki to prostuje, praca moja jest złym uczynkiem wobec „laików". Osobliwy kłopot uczonego! Chodzić powinno o to, kto krzywdę robi prawdzie. Rozżaleni mogą być „norwidologowie", bo im się burzy legendę. Ale jestem przekonany, że to, co teraz na twardym gruncie prawdy wzniesiemy na cześć Norwida, lepiej go spularyzuje, niż dotychczasowy kult w zamkniętej kapliczce scholastyków.

P. Makowiecki przekona się, ile będzie miał jeszcze trudności z Norwidem. Nie jest łatwo odtworzyć prawdę życia i twórczości człowieka, który o sobie powiedział: „Musiałbym pozować, żeby nie pozować". A przecież badanie prawdy o człowieku polega na odnalezieniu jego postawy naturalnej wobec świata.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

GENERAŁ SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI wydał świeżo książkę p. t. „Strzępy meldunków". Są to wynotowane dokładnie relacje z audjencyj, udzielonych mu przez marszałka Piłsudskiego. Rzucają one sporo światła na nasze dzieje wewnętrzne w latatach ostatnich, między innemi ustalają fakty, które zaszły za czasów, kiedy generał pełnił urząd ministra spraw wewnętrznych. Oto szczegóły dotyczące sprawy brzeskiej:

W sierpniu 1930 r. na str. 205 notuje:

„Dwa przeszło miesiące byłem już ministrem spraw wewnętrznych, a Pan Marszałek zupełnie nie wzywał mię do siebie. Dopiero 11 sierpnia 1930 roku zostałem wezwany do Belwederu, gdzie Komendant kazał mi przygotować w najkrótszym czasie odpowiedź na szereg zajmujących Go pytań z zakresu życia politycznego Polski. Największy nacisk położył Pan Marszałek na toczące się dochodzenia w sprawie kongresu Centrolewu, odbytego w Krakowie w dniu 29 czerwca, którego uczestnicy występowali nietylko przeciwko rządowi i Komendantowi, ale nawet przeciwko Prezydentowi Rzeczypospolitej. Stopień winy i obciążenia poszczególnych posłów Komendant objął ogólną nazwą „kondemnatek" i kazał sobie możliwie szybko przygotować i szczegółowo zreferować owe „kondemnatki" wszystkich posłów Centrolewu..."

Dalej na str. 206:

„Następne meldunki w sprawie sytuacji politycznej miałem u Pana Marszałka bądź sam, bądź w obecności ministra Cara i pułkownika Becka. Przedmiotem ich były „kondemnatki" posłów Centrolewu i zorganizowana akcja sabotażowa w Małopolsce wschodniej. Meldunki te odbyłem u Pana Marszałka: 19 sierpnia 1930 roku o godzinie siedemnastej i pół w Belwederze; 21 sierpnia 1930 roku, o godzinie siedemnastej i pół w Inspektoracie; 22 sierpnia w obecności ministra Cara i pułkownika Becka, w Belwederze o godzinie piątej i pół popołudniu.

„W czasie tego ostatniego meldunku, Pan Marszałek zapowiedział nam, że za parę dni zamierza zostać premjerem

rządu, który będzie robił wybory. Po objęciu władzy zamiarem Komendanta jest, po rozwiązaniu Sejmu, aresztowanie szeregu byłych posłów za ich „kondemnatki". W pewnej chwili Pan Marszałek zapytał, kto podpisze rozkaz aresztowania. Zapanowało milczenie, po którem zameldowałem: Melduję posłusznie, że ja podpiszę, Panie Marszałku.

„No więc! — powiedział Komendant, jakby strofując mię za zbyt długie namyślanie się..."

W dniu 30 sierpnia 1930 dalsza wiadomość (str. 223):

„Byłem dzisiaj, 1 września 1930 roku z meldunkiem u Komendanta, w czasie którego otrzymałem następujące instrukcje i rozkazy:

„Pan Marszałek daje swe nazwisko na pierwszem miejscu listy państwowej Bloku Bezpartyjnego.

2) Pan Marszałek akceptuje odebranie pozwolenia na broń byłym posłom.

3) Na przedstawionej przezemnie liście posłów z „kondemnatkami" Pan Marszałek własnoręcznie, zielonym ołówkiem, zaznacza, kto ma być aresztowany i zamknięty w Brześciu..."

PAŃSTWO W ROLI PRZEDSIĘBIORCY to temat b. częstych dyskusyj w Polsce. Niezależnie od takich czy innych poglądów zasadniczych na tę sprawę, każdy się chyba zgodzi na jedno: państwo powinno być wzorem, jeśli chodzi o prawdziwość bilansów przedsiębiorstw i wykazywanie ich dochodów.

Jeśli przedsiębiorca prywatny jest karany, i to surowo (zupełnie słusznie), za wszelkie „fryzowanie" bilansów, to przecież od przedsiębiorstw państwowych tembardziej trzeba wymagać prawdziwych bilansów.

Ciekawe światło na tę sprawę rzuca książeczka p. Bernadzikiewicza „Przerosty etatyzmu"*). Podaje on tam szereg przykładów, jak wyglądają wyniki bilansowe przedsiębiorstw państwowych w zestawieniu z rzeczywistością.

Z wielką przykrością i niesmakiem czyta się dokumenty, świadczące o systematycznem „poprawianiu" wyników rzeczywistych w bilansach przedsiębiorstw państwowych.

Robi się to zaś w sposób zupełnie bezceremonjalny. Przytoczymy tu fakt, naszem zdaniem, najbardziej jaskrawy. Mianowicie w zarządzeniu Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych z dnia 4 stycznia 1935 r. znajdujemy taki „kawałek":

„...Dyr. Nacz. Lasów Państw. zarządza co co następuje:

1) obniżyć o 10% (dziesięć) z wyjątkiem Dyrekcji Lasów Państwowych w Siedlcach, ceny surowca świerkowo-jodłowego, dostarczanego tartakom L. P. w 1933/34, według jakich obliczono i zarachowano na dochody nadleśnictw, a wydatki tartaków, jego wartość, oraz na podstawie zmienionych w podany wyżej sposób cen, ustalić nową wartość wspomnianego wyżej surowca". Aby nie wykazać strat, które przynoszą tartaki państwowe, Dyr. Nacz. Lasów Państwowych każe im obniżyć *ex post* wartość surowca, dostarczonego tartakom w zakończonym przed 3 miesiącami okresie rachunkowym! Wiemy, jakby należało postąpić wobec przedsiębiorcy prywatnego za tego rodzaju „poprawki" w bilansie.

Państwo ma za zadanie wychowywać obywatela — głoszą ideolodzy sanacyjni...

*) Dr. Tadeusz Bernadzikiewicz—„Przerosty etatyzmu", Warszawa 1936, str. 150.

A przecież dobry lub zły przykład gra bardzo doniosłą rolę w wychowaniu.

P. S. Styl zarządzenia też mógłby być przykładem... jak nię należy pisać po polsku.

POUCZENIE KARDYNAŁA VERDIER. Dla instrukcji tych, którzy nie umieją pogodzić żarliwości patrjotycznej z nauką Kościoła Katolickiego, przytaczamy słowa wysokiego dostojnika Kościoła, kardynała Verdier, wygłoszone w odczycie publicznym na temat miłości ojczyzny:

„Patrjotyzm jest równocześnie przekonaniem, uczuciem i obowiązkiem. Przekonaniem, że Bóg, za pośrednictwem zgodnych z naturą i prawem faktów, wiąże mnie z pewnem środowiskiem, bym mógł służyć swoim interesom, jako też interesom ludzkości. Uczuciem, że winienem kochać specjalną miłością tę wielką rodzinę, którą mi Bóg przeznaczył. Obowiązkiem, który każe mi jaknajlepiej tej wielkiej mojej rodziny i jej interesów bronić, spełniać moją misję niesienia jej mej pomocy, ofiarowania mej działalności a nawet— jeśli tego zajdzie potrzeba — życia.

„Obowiązki względem ojczyzny nie powinny być ekskluzywne. Każdy człowiek należy także do olbrzymiej rodziny, jaką jest ludzkość. Bóg jest ojcem wszystkich ludzi, a zatem wszyscy ludzie są braćmi. Winniśmy ich wobec tego kochać i pomagać im w miarę naszych sił i możności.

„Ponieważ jednak każdy z nas osiąga ludzkość poprzez ojczyznę, tj. pomagając jej w wypełnianiu misji na ziemi, obowiązek wobec ojczyzny, jako bardziej bezpośredni, winien być w praktyce wypełniany przed obowiązkami względem ludzkości..."

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W całym polskim świecie literackim, jak również wśród najszerszych sfer społeczeństwa ogromne wrażenie wywarł wypadek, którego ofiarą padł znakomity poeta i dramaturg, Stanisław Miłaszewski. Dn. 19 b. m. w południe autor „Gestu wewnętrznego" uległ ciężkiemu złamaniu goleni oraz ogólnemu potłuczeniu, przejechany przez samochód pędzący z nadmierną szybkością przy zbiegu ul. Ordynackiej i Nowego Światu. W ostatnich tygodniach przygotowywał Stanisław Miłaszewski wystawienie swego nowego arcydzieła, dramatu „Bunt Absalona"; utwór ten w myśl umowy z T. K. K. T. miał ukazać się na scenie stołecznej przed dniem 1 marca r. b.

„Myśl Narodowa", mająca zaszczyt zaliczać znakomitego twórcę do grona swoich przyjaciół i współpracowników, składa mu na tem miejscu życzenia najserdeczniejsze jaknajrychlejszego powrotu do zdrowia i pracy na chwałę polskiego piśmiennictwa.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Związku b. członków „Polonji" — organizacji akademickiej młodzieży kresowej, wyszedł z druku pierwszy zeszyt „Pamiętnika Kresowego". Wydawnictwo to ukazywać się będzie w formie poszczególnych książek, z których złoży się kiedyś na całość, ilustrującą pracę polityczną, kulturalną, oświatową, którą podjęło i prowadziło polskie społeczeństwo na ziemiach Wołynia, Podola i Ukrainy. Nawałnica bolszewicka zmiotła z powierzchni ziemi znaczną część tego, co tam dokonane zostało. Ale gdzieś głęboko pozostały ziarna, które kiedyś przyniosą owoce. Na ziemiach kresowych zapisana została piękna karta polskiej historji. „Trzeba przed potomnością zdać sprawę z pracy dokonanej". Te słowa prospektu „Pamiętnika Kresowego" wyjaśniają aż nadto potrzebę jego istnienia. Tem bardziej, że „coraz mniej jest dokumentów, a, wraz z tymi, co odchodzą, urywa się jedna po drugiej nić wspomnień, jedyne nieraz źródło dla poznania naszej bliskiej przeszłości, i jej utrwalenia".

Zeszyt pierwszy obejmuje „Historję Harcerstwa Polskiego“ na Rusi i w Rosji.

Książka ciekawa nietylko dla tych, co z Kresów pochodzą. „Pamiętnik Kresowy“ winien się znaleźć w każdym polskim domu.

*

Z pewnością wiele zwyczajnej radości życia, a nieraz i bardziej wyrafinowanego zadowolenia można odnaleść w poczuciu swobody, jakiego doświadcza np. przeciętny obywatel Republiki Francuskiej, odbywający podróż z metropolji na Martynikę, perłę w kolonjalnej koronie Francji. My za to z zazdrością oglądamy nieraz na mapie linje okrętowe, łączące stolice wielkich mocarstw zachodnich z terenami ich ekspansji, a nie bez zrozumienia przypatrujemy się rozpaczliwym wysiłkom Włochów, duszących się na wąskim skrawku apenińskiego buta... A jednak można odbywać tę najczarowniejszą podróż po wodach Atlantyku i trwać głuchym i ślepym wobec szumów i woni, bijących od ciemnozielonej kipieli, bronić się nawet przed natarczywością promieni słonecznych, których nie poskąpił Stwórca całemu *orbi terrarum*, a tym stronom w szczególności.

Aby się znaleść w tak opłakanym stanie trzeba ulec wprzódy całkowitemu zamroczeniu trującym zapachem miłości... Gilbert Vauquelin, pasażer statku komunikacyjnego między Francją a francuskiemi Antylami, zdążając do Fortu Francji („Fort Francji“. Powieść. Pierre Benoit. Z upoważnienia autora przełożyła Helena Hellerówna, str. 225. Stanisław Cukrowski — Warszawa) na Martynice, nie był zupełnie w stanie przewidzieć, jaki obrót weźmie przygoda miłosna, w której on ani razu do tej pory nie pokazał się odważnym, przedsiębiorczym mężczyzną. I tem najciężej zawinił wobec przychylnej, ale czego innego szukającej w miłości — nie lauru nad jego czołem uczonego — Aissy, pięknej i o gorącym temperamencie mieszkanki wyspy.

Tajemnica wokół osoby cudzoziemca — w jej utrzymaniu dopomaga także oficjalna misja naukowa zbadania kraterów słynnego wulkanu — oraz okoliczności, w jakich Gilbert wysiadł na ląd w porcie, skąd zakonspirowany przewodnik przeprowadził go do samotnej willi — wszystko to stwarza częsty w tym gatunku powieści nastrój romantyczny, każąc czytelnikom wiele się domyślać, więcej jeszcze — boleśnie choć niejasno — przeczuwać.

Dalsze losy tej niedobranej pary, przez fatalne nieporozumienie szukającej wspólnego języka, może zawcześnie odsłania nam autor, już bez dłuższych ceregieli kładąc rysunek głównego zdarzenia na arcyciekawe tło stosunków między administracją francuską a leniwą, choć gorącą i zmasonizowaną — jednocześnie po katolicku pobożną, gorliwą w niechybianiu niedzielnych nieszporów, ludnością Kreolów i Mulatów. Zwłaszcza w okresie wyborów namiętności rozżarzają sennych na codzień mieszkańców tego ziemskiego raju do oślepiającej bieli roztopionego żelaza, tak, jak znowóż konszachty i przetargi pomiędzy kierującymi całą hecą politykierami dosięgają wyżyn arcydzieła dyplomacji gabinetowej z najlepszych „przedwojennych“ czasów.

Na tym przydługim epizodzie ucierpiało nieco zainteresowanie akcją główną. Komplikuje intrygę fakt zupełnej uległości Aissy wobec mulata Timoleona, brutala i mordercy. I nic nie pomoże inicjatywa Gilberta: pełen najwierniejszego oddania, pragnąc nadrobić stracone dla miłości lata ubiegłe, nawet jako wybawca dziewczyny z rąk Tim'a nie może z nim skutecznie konkurować.

Tem gorzej dla niego, że nie posłuchał doświadczonej rady Woltera w żarcie „Co się damom podoba?“ — uniknąłby napewno błędów, które swym ciężarem popchnęły go do najsmutniejszego końca... gdyby wogóle kiedykolwiek autora „Powiastek filozoficznych“ czytał. To chyba jedyny morał czy teza, na którą powieść napisano.

Kiepski, b. kiepski przekład p. H. Hellerówny. (ST. J.).

ZE ŚWIATA SZTUKI

„ARKADY” zeszyty 7 i 8 (listopad, grudzień). Zacznę z innej beczki. Czytając niedawno, zdaje się „Gazetę Polską”, znalazłem tam wiadomość, że w czasie debaty budżetowej w Sejmie (czy też w Senacie? — nie pamiętam) zaatakował Pata, za wydawanie „Arkad”, gen. Żeligowski. „Wy tu bawicie się w takie luksusy” — powiedział — „a u mnie na wsi chłopi nie mają co do gęby włożyć, kartofle na śledziowej wodzie gotują”. Na to wstał dyrektor Pata, p. Libicki, i oznajmił, że Pat jest placówką, opartą na zasadach handlowych, a co do „Arkad”, to są one samowystarczalne, gdyż ich rozchód równa się dochodowi. Więc się na nie specjalnie pieniędzy nie traci.

Ile w tem było słuszności, nie będę dochodził, gdyż nie jestem rzeczoznawcą od spraw finansowych. W tej całej sprawie nas co innego może obchodzić. Nawet przy dzisiejszym kryzysie, wydatki państwa na potrzeby sztuki, w porównaniu z innemi wydatkami, są tak znikome, że niema żadnych podstaw ku temu, by uważać je za marnotrawstwo grosza, luksus ponad stan naszej kieszeni. Pism artystycznych (razem z „Arkadami”) mamy w Polsce trzy, z czego jedno („Plastyka”), wydawane własnemi siłami artystów, przechodzi u początków swego rozwoju ciągłe tarapaty natury pieniężnej. W tych warunkach można więc mówić tylko o tem, czy grosz publiczny, przeznaczony na sztukę, zużytkowywany jest rozumnie i celowo.

Wydawanie „Arkad”(albo innego czasopisma art.) jest zjawiskiem dodatniem; można jedynie rozważać, co w piśmie jest złe, a co dobre i pożyteczne, by rzeczową krytyką uczynić je jeszcze lepszem. Zastanówmy się skąd poszło to pomawianie „Arkad” o luksus, a także ile jest w tem racji. Czy można mieć pretensje do kogoś, że daje za dobre ilustracje, lub że zbyt starannie(!) tłoczy tekst? Gdy redagowana przez ś. p. Fr. Siedleckiego „Grafika” miała, z powodu trudności finansowych, pewne mankamenty — byliśmy niezadowoleni. Gdy pismo, posiadające trwałe podstawy materjalne („Arkady”), mogło się podobnych niedostatków pozbyć — także są niezadowoleni. Gdzie tu logika?

Jeśli chodzi o „Arkady”, pewne wrażenie luksusu, dla „wyższych dziesięciu tysięcy”, może sprawiać nie jakość ich szaty zewnętrznej, lecz rodzaj i temat, a może wyłączność niektórych artykułów. Na tem miejscu nieraz już podnosiłem zalety pisma, jego, godną najwyższej pochwały, dbałość o ciągłość naszej kultury plastycznej i pożytek zamieszczanych w niem artykułów z wielu nieomawianych dziedzin sztuki zabytkowej—niech mi wolno będzie wypowiedzieć teraz parę życzliwych uwag krytycznych. Nr. 7, np., rozpoczyna artykuł p. t. „Stary mebel w nowoczesnem wnętrzu”. Na załączonych ilustracjach widzimy wnętrze ultra-współczesnej willi, umeblowane sprzętami z dawnych epok. Samo zagadnienie takich zestawień jest, pod względem artystycznym, b. interesujące, ale raczej pod względem teoretycznym, niż praktycznie, bo na taką willę i na takie meble pozwolić sobie może tylko bogacz. Gdyby obok tego „Arkady” umieściły artykuł jak najtaniej (względnie) może sobie urządzić mieszkanie 3 pokojowe, w kamienicy czynszowej, inteligent, żeby jednocześnie sposób urządzenia odpowiadał jego upodobaniom kulturalnym i estetycznym — uczyniono by zadość i teorji i praktyce. I wilk byłby syty i koza cała. To samo dotyczy łazienki. W którymś z poprzednich zeszytów „Arkad” widzieliśmy łazienkę pani Smosarskiej i jakiegoś bogatego pana na Saskiej Kępie, ale znowu nie pomyślano o skromnym inteligencie z trzypokojowego mieszkanka. A pamiętajmy, że zaprojektowanie skromnej, a wygodnej i praktycznej łazienki jest dla architekta zadaniem bodajże trudniejszem i bardziej ważkiem.

Powtarzam: oba wspomniane artykuły nie były złe, ani bezpożyteczne, omawiały tylko sprawę niecałkowicie i dlatego należało je uzupełnić innemi.

Pozatem Nr. 7 przynosi, z ciekawszych, artykuł „O nowe krzesło". Do tego tematu należałoby, mojem zdaniem, jeszcze powrócić, gdyż stanowi on jedno z najbardziej interesujących, a zarazem najbardziej trudnych, zagadnień w meblarstwie. St. Rygiel, pisząc, w tym samym zeszycie, o „ogólnym poziomie naszego introligatorstwa", wykazuje bez porównania większą znajomość przedmiotu, niż przeciętny ogół naszych bibljofilów. Z tego wniosek: nie wystarczy książkę kochać, trzeba ją także znać.

Nr. 8 (gwiazdkowy) w połowie poświęcony jest drukom. St. Rygiel pisze o życzeniach noworocznych dawnych i dzisiejszych. Główna wartość tego szkicu tkwi w załączonych obok, w ilości nader obfitej, ilustracjach. Także bogato ilustrowany jest artykuł P. Koczorowskiego, o książce dla dzieci. Artykuł ten ma charakter obszernej notaty historyczno-bibljograficznej. Ten sam zeszyt zawiera artykuł Ks. Piwockiego, autora najlepszej dotychczas pracy o drzeworycie ludowym. Tym razem Piwocki pisze o ludowem malarstwie. Znajdujemy tu również prace: Ulanowskiego—o dawnych piernikach, Stromengera—o polskich skrzypcach, Dobrowolskiego — o śląskiej koronce.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

FILHARMONJA. — Podobno gdy po raz pierwszy wykonano w Paryżu „Rapsodję hiszpańską" Ravela, galerja impertynencko ale i z niesłychanym entuzjazmem krzyczała, by ją powtórzono dla zimnego i obojętnego parteru. Dzisiaj parter słucha muzyki ravelowskiej z przyjemnością. Właśnie — z przyjemnością. No, bo to... ładne. Podoba się. A galerja? Ta oklaskuje wraz z całą salą świetnie „zrobione" utwory, duże znawstwo orkiestry.

Zna orkiestrę i Witold Maliszewski — z dobrej przecież pochodzi szkoły, ale... Otóż właśnie to „ale". Czytałem kiedyś słuszną uwagę, że młode pokolenie kompozytorskie zachwyciłoby się niejednym taktem jego twórczości, gdyby już zgóry nie wiedziało z kim ma do czynienia. Prawda, prawda! Maliszewski ma to nieszczęście, że nie należy do żadnego pokolenia muzycznego. Jest jakby przejściowem ogniwem między jednem a drugiem. Nie walczył z poprzedniem, nie atakował więc i nie był brany w obronę przez następne. Wyczuwa się w jego utworach jakiś mimowolny kompromis, co mu uczyniło pozycję wyjątkową. Wyjątkową i jakoś dziwnie samotną.

Czwarta symfonja *d-dur* poświęcona „Odrodzonej i odnalezionej Ojczyźnie" jest niejako ilustracją życia kompozytora, który wiele lat przebył poza granicami kraju, a dopiero w czasach wojny szedł do niej (dosłownie) z miłością i upragnieniem. To też ostatnia część wyraźnie rozbrzmiewa motywami swojskiemi. Ale ta swojszczyzna typowo „wpleciona", wnosi w całość porcję nieznośnego banału, szczególnie w chwilach, gdy jakby szczelinami w małowartej budowli przenika hymn narodowy. Aż się niechce uwierzyć, że to szczere, że to dowód głębokiego, może najgłębszego przeżycia. Przyznajmy, że szczęśliwe wybrnięcie z sytuacji stanowiło tu zadanie nad wyraz trudne. Skala zamierzania kompozytora była ogromna, łatwo przeto o zatracenie pożądanego wyrazu. Zamiast uczucia poczuliśmy smak frazeologicznego patosu, krzywdzącego intencję oraz napięcie uczuciowe kompozytora.

Wykonanie pod kierownictwem Walerjana Bierdjajewa, jak zawsze, niezawodne.

Rudolf Serkin swój debjut na estradzie warszawskiej zaczął od niezbyt imponującego koncertu fortepianowego *g-moll* Mendelssohna. Niektórych zdziwiło, dlaczego wybrał utwór tak łatwy, gdy stać go było na rzecz bardziej pod względem wirtuozyjnym błyskotliwą. Nie podzielam tego rodzaju zarzutu. Nie jest to nawet dla mnie zarzutem — wartość dzieła muzycznego nie leży przecież w karkołomnem spiętrzeniu trudności technicznych. Dlaczego jednak wybrał postać Mendelssohna, którego czas już stanowczo minął, mimo, iż długo, aż do dni naszych, pokutował duch jego w postaci pewnego rodzaju gatunku smaku estetycznego, co przecież doprowadziło blisko pięćdziesiąt lat temu do strasznej, godnej samego Goebbelsa *„juden-hecy"* wszczętej przez niebyle kogo, bo samego Ryszarda Wagnera! Dodać należy, iż wagnerowskie zarzuty były bardzo bolesne, bo Mendelssohn zapomniał (t. zn. starał się niepamiętać) o swojem pochodzeniu. Tyle lat minęło, głośna niegdyś twórczość i groźna niegdyś twórczość zbladła jakoś dziwnie, przygasła, sama postać natomiast jakże jest współczesna!

Rudolf Serkin zagrał koncert możliwie najefektowniej, chociażby efekt ten był kabotońskiego gatunku. To samo da się powiedzieć i o sonacie *c-dur* op. 53 Beethovena, znanej pod nazwą „Waldsteinowskiej". Trzeba przyznać, że aczkolwiek interpretacja jej odbiegła od przyjętego i uświęconego tradycją szablonu, nie zatracił się jednak przez to charakter muzyki beethovenowskiej. Inne aniżeli zazwyczaj potraktowanie ostatniej części było nawet pomysłem wcale dobrym.

Serkin imię zdobywał przy boku Adolfa Buscha, z którym razem objeżdżał świat odtwarzając sonaty skrzypcowe. Nawiasem zaznaczyć należy, iż Warszawa dawno nie słyszała sonat skrzypcowych. Inicjatywa Stokowskiej oraz Ilwickiej „przejawiła się" i — koniec. Zresztą nie zadowalały one wpełni naszych wymagań.

W. NARUSZ

W ROZMÓWNICY

Warszawa, 17.1.1936 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 3-im (635) „Wiadomości Literackich", na stronie 6-ej, p. Antoni Słonimski zamieścił artykuł polemizujący z p. Apenszlakiem. Nie mam zamiaru wtrącać się do czysto familijnej sprzeczki tych dwu semitów, muszę jednak skarcić publicznie p. A. S. za użycie zupełnie niedopuszczalnego zwrotu.

Wydrwiwając przeczulenie swych rodaków na wszelką krytykę, p. A. podaje, jako przykład wyrozumiałości polskiej i wzór do naśladowania, kilka tematów, które można jakoby poruszać wśród Polaków, nikogo nie oburzając. Tak więc, zdaniem jego, wolno pisać bezkarnie, że „endecy intrygowali przeciw wojsku".

(Proszę zwrócić uwagę na tę perfidję: autor niby sam od siebie tego nie twierdzi, ale podaje to, jako rzekomo utarte mniemanie, jako potoczny komunał!)

Nie wiem, co bardziej podziwiać: bezczelność, czy też naiwność oszczercy. Przecież na całym świecie wraz z Polską, to właśnie nacjonaliści, czyli „endecy", szerzą kult dla armji i bohaterstwa wojennego, a różni Słonimscy namawiają żołnierzy do dezercji, albo buty im opluwają. A nawet czytelnicy „Wiadomości Literackich" dobrze chyba pamiętają, że to bynajmniej nie „endek", ale właśnie pana Słominskiego rodak i przyjaciel radził żołnierzowi polskiemu „rżnąć karabinem w bruk ulicy"!

Proszę przyjąć zapewnienie prawdziwej sympatji i poważania.

ARTUR CHOJECKI

POKŁOSIE

BAŁAMUCTWA

ANGLICY mają dar obrazowych określeń sytuacyj, a jedną z takich właśnie trafnych charakterystyk obecnej sesji Rady Ligi Narodów wyczytać można było w znanym londyńskim tygodniku politycznym „*The Observer*". Powiedziano tam, że na tej sesji zaznaczy się niewątpliwie „popyt na miejsca w drugim rzędzie", t. zn., że żadne z państw nie będzie miało ochoty na wysuwanie się na czoło, każde raczej zajmie stanowisko, odpowiadające powiedzeniu: „*moja chata s kraju, niczoho ne znaju*". Po impecie, jaki wykazywała Liga w pierwszych stadjach konfliktu abisyńskiego i po dramatycznych niemal okolicznościach dymisji ministra Samuela Hoare, może to być dla szerszej opinji, karmionej tendencyjnemi bałamuctwami, niespodzianką, jest zaś w istocie potwierdzeniem faktu załamania się pierwotnej polityki angielskiej. Dla samej Anglji wojna jest obecnie niemożliwa, a liczyć na to, że inni będą dla niej wyciągać kasztany z ognia, okazało się, jak to przewidywał cytowany niedawno w „Myśli Narodowej" H. Belloc — szaleństwem.

Genezę planu pokojowego Lavala i Hoare'a próbowano ubrać w romantyczne szaty interwencji następcy włoskiego tronu u króla angielskiego za pośrednictwem belgijskiego szwagra. Oczywiście, taka interwencja nie jest wykluczona, ale jeżeli miała miejsce, to napewno nie w tej formie, jak rozgłaszano, gdyż nie do pomyślenia przecież jest, żeby następca tronu zdradzał przed nieprzyjaznym dworem tak ścisłe tajemnice wojskowe, jak np. zapas płynnego paliwa, jakiem rozporządza walcząca armja włoska! Z drugiej zaś strony nie jest wcale pewne, żeby odwołanie się do solidarności monarchicznej odniosło taki skutek: nie leży to w tradycjach angielskich, polityka Anglji szła nieraz przeciw tronom, gdy widziała w tem korzyść dla siebie. Mógłby coś o tem powiedzieć z dawniejszych czasów Ludwik XVI, a z nam bliższych, brat cioteczny króla Jerzego, Mikołaj II!

Tajemnicę wyświetliła londyńska „*The Morning Post*", przemawiając zamiast mającego „zapieczętowane" usta Baldwina. Stan pogotowia wojennego Anglji jest taki, że nawet ten komplet amunicji, jaki był potrzebny dla wyruszającej na morze Śródziemne eskadry, zebrano z trudem... Jest to chyba zupełnie wystarczający powód i dobrze zrobimy, gdy się nim zadowolimy, tak, jak znawca tych rzeczy Napoleon zadowolił się jedynym powodem, dla którego nie strzelano przy jego przyjeździe na wiwat z moździerzy, mianowicie brakiem tych moździerzy — i nie chciał już słuchać dwudziestu innych powodów, jakie chciał mu wymieniać zmartwiony burmistrz.

Ale cóż wobec tego Ameryka? Przecież czytaliśmy sążniste telegramy o tem, jak to prezydent Roosevelt wystąpił z niebywałą mocą przeciwko dyktatorom i napastnikom! To znów tendencyjne bałamuctwo, gdyż, jak się okazuje, to według publicystyki angielskiej właśnie prezydent Roosevelt bardzo skutecznie „storpedował" sankcje najważniejsze, mianowicie naftowe. Zapowiedział bowiem, że Ameryka będzie dostarczała nafty wszystkim stronom, zamieszanym czynnie w konflikcie (a więc i ewentualnie Anglji) tylko według normy importu w czasie pokoju; to oczywiście złamało całe ostrze sankcyj, gdyż pozatem, że przy pewnych zapasach i restrykcjach w użytku wewnętrznym import pokojowy może wystarczyć, otwarta jest jeszcze droga importu za pośrednictwem np. Hamburga, leżącego na terytorjum państwa, nie będącego członkiem Ligi... Co zaś do uwag, wypowiedzianych pod adresem narodów, powracających do wiary w prawo miecza, to mogą to wziąć do siebie nietylko Włochy, i istotnie niejedne nożyce odezwały się na to uderzenie w stół.

Na te bałamuctwa zwracamy uwagę, gdyż z obowiązku musimy to, co piszą dzienniki, nietylko uważniej czytać, ale i dłużej pamiętać, niż przeciętny czytelnik i naszą rzeczą jest ostrzeganie przed kampanjami, które nie cofają się nawet przed nielojalnem wykorzystywaniem słów wysokich dygnitarzy kościelnych. A czujność jest tembardziej wskazana, gdy bałamuctwa znajdują drogę na szpalty dziennika, proklamującego zawsze swą bezpartyjność, od którego czytelnik ma prawo spodziewać się objektywnych informacyj. A tymczasem dochodzi do tego, że sprawa Stawiskiego doczekała się na szpaltach „Kur. Warsz." oceny jako zwykłe oszustwo pieniężne, nie mające nic wspólnego z parlamentem. I to po niemal rewolucji w lutym 1934 r., po zmieceniu rządu przez opinję publiczną, po straszliwych zarzutach, postawionych przez p. A. Tardieu szefowi rządu p. Chautemps w komisji śledczej parlamentu, po wielu rezygnacjach politycznych i wyrokach na dygnitarzy... Ot nic, takie sobie zwykłe oszustwo z kwitami lombardowemi. Po dwu latach starannego, czasami rozpaczliwego tuszowania sprawy przez masonerję, warszawski organ sfer „dobrze myślących" przyłącza się do tego procederu. *Cui bono?*

ARGUS

NA MARGINESIE

Barbarzyńca niejaki utknął nosem w lusterku, na ścianie wiszącem.

— Co? karykatura! Ktoś mnie wyśmiewa?

Bęc, bęc pięścią w lusterko. I znikła poczwara. Ale ból doskwiera, bo szkło w piąstce utkwiło. Szkoda wzywać policji, może lepiej doktora. I sąd tu nie pomoże.

*

W jednym z ostatnich numerów „Pionu" wytworny znawca sztuki, teoretyk krytyki formalnej, p. Henryk Elzenberg, spiera się z historykiem Borowym o wartość cudnego wiersza Jana Kasprowicza, umieszczonego na wstępie „Księgi ubogich":

„Rozmiłowała się ma dusza
W cichym szeleście drzew
Gdy konarami ich porusza
Druh mój, przecichy wiew" i t. d.

Borowy tym utworem się zachwyca, ale urzędowy esteta ocenia go inaczej:

— „wiersz „życia płomienny stróż" jest niepotrzebny i słaby, wiersz „w nieznaną płynąc dal" jest niepotrzebny i nad wszelki wyraz okropny... Nieekspresyjne są epitety... „głośne" odmęty — co za ubóstwo w tak sformułowanem przeciwstawieniu"...

Wypomina też inne „wyblakłe i zużyte liczmany poezji". P. Elzenberg napisałby to wszystko inaczej i lepiej. Jaka szkoda, że profesor estetyki nie czyta rękopisów i nie daje zawczasu wskazówek poetom!

Mówiąc serjo, jakże blisko od krytyki formalnej naszych czasów z powrotem do Osińskiego i Boileau!

*

Dyrekcja upaństwowionego Radio warszawskiego chce podobno usunąć z repertuaru słuchowisko „Na wesołej lwowskiej fali" (Tońcio i Szczepcio), — numer stanowiący największą atrakcję dla słuchaczy Radja. Usunie się ten numer za karę, bo jest zbyt wesoły, a w Polsce powinno być smutno.

Znawcy stosunków tłumaczą, że przyczyna jest głębsza. Przedsiębiorstwu za dobrze się działo przy tem słuchowisku, licza abonentów rosła. Instytucja zetatyzowana wypadłaby ze stylu, gdyby nie była deficytową.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.